

Są zwroty i słowa, których nie zapomina się do końca życia, chociaż same w sobie nie wnoszą nic konkretnego. Czasami sytuacja decyduje o tym, że nabierają fundamentalnego znaczenia, czasem przeszłość tych, którym owe stwierdzenie jest dedykowane, czasem jakaś inna przyczyna. Nieważne. Istotne, że niektóre teksty wwiercają się nam w mózg, żłobiąc w głowach korytarze nie do zasklepienia. Dziury, w które nasz umysł wpada jak zwierzę w pułapkę kłusowników.

Pamiętam, jak na jednej prywatce – tej samej, na której poznałem moją przyszłą żonę – podeszły do mnie dwie dziewczyny. Jedna z nich chyba miała ochotę ze mną pogadać, druga przyszła, by dodać pierwszej odwagi. Obie nie bardzo wiedziały, jak zacząć rozmowę. Nie wychodziłem z inicjatywą. Po pierwsze, chodziły jak na gali rozdania Oscarów, a nie skromnej domówce. To mi się nie spodobało. Po drugie, patrzyły na mnie z rosnącym na ich twarzach zniecierpliwieniem. Jakby robiły mi łaskę, zaszczycając mnie swoją obecnością. Po trzecie, Laura od razu wpadła mi w oko. W dupie miałem resztę towarzystwa. Chciałem poznać ją, tylko ją. W pokoju rozbrzmiewały dźwięki muzyki lat osiemdziesiątych, ale gdy patrzyłem na Laurę, w głowie grał mi „Obcy astronom” Republiki.

*Więc gdy podglądam cię,  
me serce myli sejsmografy.*

*Lecz nie potrafię przejść  
po drodze mlecznej, nie potrafię.*

- Można? – zapytała jedna z dziewczyn, pokazując na misę z chipsami stojącą niedaleko mnie. Wyduła wargi w groteskowym grymasie, jakby ktoś wsadził jej w tyłek kompresor i zaczął pompować.

Wtedy przed oczyma stanął mi Leszek z „Daleko od szosy” i jego kultowy cytat.

*Się pani częstuje, na żądanie raz można.*

Próbowałem przepędzić ten obraz, ale było za późno. Kolejne haselko odbijało mi się echem po kopułą, wirując jak prastary wygaszacz ekranu z wpisaniem przez użytkownika tekstem. Parsknąłem śmiechem. Panie prychnęły z dezaprobatą, młócąc powietrze zamaszystymi ruchami pośladek. Z perspektywy lat stwierdziłem, że dzięki temu poznałem Laurę. Później szczerze tego żałowałem.

Uwielbiałem słowa. Od zawsze miałem do nich słabość. Krótkie wyrazy lub jeszcze krótsze sentencje. To dar i przekleństwo. Zbyt często literowe romanse gnieździły mi się w głowie, absorbując moje myśli do granic możliwości, krążąc jak sępy nad dogorywającym zwierzęciem, czekając na dogodny moment, by raz za razem przebijać się przez gardę niczym nokautujący cios. Przypomina to trochę mruczenie piosenki, której tak właściwie wcale nie lubimy; nucimy refren poza naszą świadomością, chociaż samo wspomnienie tych dźwięków wywołuje w nas potęgującą niechęć. Dokładnie tak samo było z moimi słówkami. Pojawiały się nagle; czasem wynikały z kontekstu rozmowy, czasem z plakatu, na który zerknąłem podczas spaceru po mieście, czasem z wychwyconego przeze mnie obcego dialogu. Momentami po prostu się pojawiało. Zawsze jednak wiedziałem, że jest. Przyklejało się do moich myśli jak kartka papieru lądująca na przedniej szybie samochodu; głucho PAC i koniec. Uporczywy frazes nie dawał mi spokoju, dopóki jego miejsca nie zajęło inne słowo. Głupota.

„Powodzenia”; dziesięć liter, remis między samogłoskami i spółgłoskami, cztery sylaby, „Adeinoopwz” w porządku alfabetycznym; żaden szczyt oratorskich możliwości. Mimo to echo tego stwierdzenia zjeżyło mi włosy, gdy Klara odsuwała się ode mnie. Dwa lata intensywnej terapii pani doktor przypięczętowała uściskiem dłoni i niewinnym buziakiem. Przyjemny akcent na pożegnanie, ale nic poza tym. Klara była ładna, ale poza typowo klinicznymi relacjami nic więcej nas nie łączyło. Pomimo upływu czasu nadal miałem w głowie roześmianą twarz żony i dwójkę trajkoczących córek. „Tato, czy moja laurka jest ładna? Ładniejsza niż jej?”. Zawsze prześcigały się w wymyślaniu dowodów miłości. Kłóciły się za-

zarcie o to, która z nich bardziej kocha swoich rodziców. Dzieliło je kilka minut i oceany zazdrości. Przekrzykiwały się w deklaracjach, zarzucały sobie Bóg wie co, często płakały, lecz kwadrans później kończyły razem w pokoju, bawiąc się maskotkami. Dziecięca złość nie trwa zbyt długo, a pluszowe zabawki potrafią działać cuda. Naprawdę. Sam początkowo byłem w szoku. Próbowałem zachować spokój, ale gdzieś tam w środku gotowałem się ze złości. Wtedy Laura obejmowała mnie w pasie od tyłu, opierając brodę na moim ramieniu. „Nie próbuj się wkurzać”, mówiła melodyjnym głosem, który wyciszał mnie nawet w chwilach totalnego kryzysu, gdy miałem szczerą ochotę odpalić laskę dynamitu i rzucić ją między dziewczynki. „Przykład idzie z góry”, zwykła mawiać Laura z dobrodusznym uśmiechem na ustach, dżgając mnie w brzuch widelcem. Uwielbiałem jej spokój. Do dzisiaj nie mam pojęcia, jakim cudem tak drobna i krucha istota zaprowadzała porządek nie podnosząc głosu, nie czerwieniąc się ze złości, nie patrząc gniewnie na córki. Co z tego, że potrafiłem naprawić cieknący kran, urządzić mieszkanie, zreperować samochód. Laura była oazą spokoju. Jej dotyk działał lepiej niż najskuteczniejszy lek na umysłowe nadciśnienie, spojrzenie rozbrajało każdy ładunek złości w mojej głowie. To umiejętności, których nie da się nauczyć. Z nimi trzeba się urodzić.

Jedna świeczka zrujnowała moje życie, wyrzuciła świat niczym sierżant niezadowolony z posłania rekruta. Do dzisiaj zastanawiam się, co by było, gdybym nie przyjął tego cholernego zlecenia. Gdybym po prostu wrócił do domu i powiedział: „Wybacz, kochanie, ale nie mogłem pojechać. Pieniądze jakoś odrobimy. Wezmę nadgodziny nadgodzin, wydłużę dobę. Jakoś to będzie. Damy sobie radę. W rodzinie siła, prawda?”

Tyle że nie odmówiłem. Gdzie tam. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się wycofać. W jakim innym miejscu dostałbym tyle pieniędzy za pięć dni roboty? Przegłosowane! Co się może wydarzyć w tak krótkim czasie?

Jak się później okazało, absolutnie wszystko.

- Jeszcze jednego? – zagadnął barman, patrząc na mnie pytającym wzrokiem.

Moja twarz odbijała się w szybie między równo ustawionymi butelkami trunków. Kolorowe etykiety i jeszcze bardziej kolorowe płyny zasłaniały mi policzki, a lustro rozmywało mi oczy i kawałek ocalałego w odbiciu nosa. Cudem uratowane w wyniku tornada włosy ginęły w następnej półce. Nawet tyle wystarczyło, by poczuć głęboką nienawiść do samego siebie. *Tak tak – tam w lustrze to niestety ja*, zamruczałem pod nosem, wspominając Grzegorza Ciechowskiego. Grymas rozczarowania nieoczekiwanie zagościł mi na twarzy. Republika pasowała do tego miejsca jak Modern Talking do Papa Dance. Nie ta liga.

- Proszę? – wtrącił znowu gość za barem. Albo byłem przewrażliwiony, albo ten typ miał dziwnie natarczywy styl życia. Jego uśmiech był naturalny jak silikonowy gwiazd porno, a głos szczery jak wszystkie ich orgazmy.

- Dziękuję. Powiedziałem, że wystarczy. Już po jednym kielichu czuję zamieć w głowie. Nie miałem alkoholu w ustach od dwóch lat. Dzisiaj nie dam ci zarobić.

Barman zmarszczył brwi.

- Cóż, sprawiasz trochę inne wrażenie. Nie znam cię, ale przecież w mieście są też inne bary i puby – wyrzucił, po czym skrzywił się, jakby zjadł cytrynę. - Przepraszam, to nie miało tak zabrzmieć.

- Zabrzmiało tak, jak to zaakcentowałeś. Ale spokojnie, nie gniewam się. Dąsy to domena dzieciaków. Poza tym...

Zaraz po tych słowach stanął mi przed oczami obraz bawiących się dziewczynek, a w gardle urosła gigantyczna kula. Przełknąłem ją z morderczym wysiłkiem, z jeszcze większym trudem powstrzymałem cisnące się do oczu łzy. Niemal słyszałem, jak córki szepczą do siebie konspiratorskim tonem, pochylając bujne czupryny ku sobie, jak nagle wybuchają dziecięcym, beztruskim śmiechem, który każdemu rodzicowi przypomina słodkie lata, gdy życie miało urok matczynych pocałunków i ojcowskich nauk; gdy

każdy kolejny dzień był darem od Boga, prezentem od losu.  
Grzegorz Ciechowski ustąpił miejsca Piotrowi Pachulskiemu.

*Zapomnieć nie ma mowy,  
być razem nie ma mowy,  
wyrzucić nie da rady, bo  
w sercu ciebie mam.*

Spuściłem głowę, jakbym na moment zanurzył się w konwersacji z pustym kieliszkiem. Pojedyncze kropelki nie zdążyły jeszcze opaść na dno, ściekały krętymi zygzakami niczym pustynne węże.

*Co tam słyszeć, Pani Szklaneczko?*

*Co powiedzieć, nie przelewa się.*

Barman miał rację. Musiałem wyglądać żałośnie. Ale czy nie inaczej się czułem? Próbowałem się uśmiechnąć, ale ten grymas pasował do mnie jak klawiszowiec Disco Polo do Konkursu Chopinowskiego. Zmarnowałem dwa lata w szpitalu, gdzie poza sympatyczną terapeutką dostawałem tony ryjących mózg specyfików w pokojach z miękkimi ścianami. Izolatka nie uchroniła mnie od natłoku miażdżących mnie myśli, wspomnień, obrazów. Leki częściowo spełniły swe zadanie, ale daleko było im do doskonałości. Oglądałem świat przez zakratowane okna jak przestępca. Zanim Klara zorientowała się, że nie zrobię jej krzywdy, przychodziła w asyście rosnących sanitariuszy. Ona czuła się bezpiecznie, ja idiotycznie. Niewiele jadłem, jeszcze mniej piłem. Leki czyściły mnie lepiej niż Laxigen. Do tego tęsknota. Ona była najgorsza. Miałem cholerną pewność, że nikt nie będzie czekał na mnie przed drzwiami szpitala, gdy skończę terapię. Laura nie stanie z dziewczynkami przed najniższym stopniem schodów, nie spojrzy na mnie tymi niebieskimi oczami, w które wpatrywałem się bez opamiętania, nie powie: „Dobrze cię widzieć. Chodź do domu”. Wiatr nie rozwieje jej długich, czarnych włosów, nie zatrzepocze lekkimi sukienkami córek; co najwyżej naniesie piasek i zwiędłe liście na chodnik.

Laura nie żyła. Dziewczynki razem z nią. Ja też byłem martwy. Powinienem być.

- Dwa lata temu straciłem żonę i dwie córki. Zginęły w pożarze domu. Wczoraj wypuścili mnie ze szpitala po długiej psychoterapii. Sorry, wyglądam żałośnie, ale nie bardzo jest mi do śmiechu. Jeśli wiesz, o czym mówię.

Barman wybałuszył oczy ze zdumienia. Mało nie wypuścił z rąk szklanki, którą polerował na wysoki połysk. Szkło odbijało światła żarówek jak kula zawieszona na środku parkietu w sali dyskotekowej. Barman ostrożnym ruchem odłożył naczynie na blat, mierząc mnie pełnym niedowierzania wzrokiem.

- To ty mieszkasz... przepraszam... mieszkałeś w domu dwie ulice stąd?

Przytaknąłem. Jego ekscytacja powoli, acz skutecznie zaczęła podnosić mi ciśnienie.

- Kolego, strasznie mi przykro! O tym wypadku trąbiły wszystkie media. Pożar przesłonił wieści o podwyżce akcyzy i wzrastającym bezrobociu. O aferze z księdzem pedofilem nikt nawet nie wspomniął.

W tym momencie naprawdę miałem ochotę mu przypieprzyć. Świadomość, że moja osobista tragedia pozwoliła tym miastowym pasożytom na chwilę zapomnieć o kryzysie moralno-gospodarczym, wcale nie dodała mi otuchy. Wręcz przeciwnie. Odsunąłem kieliszek. Właściwie to prawie rzuciłem nim przed siebie, ale barman chwycił go z reflekssem kierowcy rajdowego. Szkło powędrowało do zlewu. Znowu dopadły mnie wspomnienia. Brzęk tłuczonego naczynia prześladował mnie często wśród bezsennych nocy w szpitalu, gdy jedynym, czego pragnąłem, był kawałek ostrego odłamka i chwila odwagi.

- Niewiele mówili o tobie – ciągnął dalej barman. - Wspomnieli tylko, że nie mogłeś się pozbierać po tym zdarzeniu. Wszyscy myśleli, że się zabiłeś. Albo wyjechałeś daleko stąd. Dom do dzisiaj nie został odbudowany. Byłeś już tam?

- Nie – burknąłem. – Jeszcze nie. Zaraz chyba tam pójde. Zresztą, co ci do tego? Twoje podekscytowanie robi się denerwujące. Nawet nie próbujesz go zamaskować. Nie chwal się tym spotkaniem na kolejnym portalu w sieci.

- Przestań – rzucił barman, wywracając oczami. – Tego bym nie zrobił.

W gruncie rzeczy wcale nie byłem tego taki pewien. Oczyma wyobraźni widziałem, jak wyjmuję swój nowoczesny telefon i loguje się do jakiegoś internetowego molocha.

*Yo, ludziska! Dzisiaj spotkałem gościa, który stracił żonę i córki w pamiętnym pożarze sprzed dwóch lat, tam gdzie tydzień temu siedzieliśmy w nocy. Mówię wam, wyglądał dziwnie! Chudy, załamany, chyba naprawdę się przejął. Ale dosyć o tym. Kto wali dzisiaj do klubu?! Będzie ten zajebisty DJ... jam mu tam... no... kurwa, nieważne. Dobry jest, i tyle! Lajkujcie!*

Rzuciłem pięćdziesiąt złotych i wstałem z barowego krzeselka. Gość za ladą krzyknął coś do mnie. Nie wiem, o co mu chodziło. Szczerze mówiąc, miałem go dość. Co z tego, że byliśmy prawie równoletkami. Odniosłem wrażenie, że w ciągu dwóch lat, które spędziłem w zakładzie, świat wywinął salto i upadł ciężko na dupę, jakbym zamiast dwudziestu czterech miesięcy w szpitalu psychiatrycznym kiblował trzydzieści wiosen w Shawshank. Postęp, tak?

Po drodze do wyjścia zaczęła mnie jakaś maślana. Na moje oko ledwo dostała dowód osobisty, chociaż ubrała się, jakby od wieków chodziła na nocne zmiany pod latarnię. Zapytała, czy nie mam jakiegoś towaru. Bez komentarza.

Dotarcie do domu zajęło mi kilka minut. Po pierwsze, miałem niedaleko. Po drugie, biegłem. Moje nogi nagle poniosły mnie dzikim galopem, jakby obawiały się, że mieszkanie też zniknęło. Najgorsze, że mimo pewności nadal w środku mnie tliła się iskierka nadziei, że ostatnie lata okazały się jakimś koszmarem, że wejdę do domu, a Laura spojrzy na mnie smętnym wzrokiem i krzyknie: „Gdzie się podziewałeś, draniu?! Odchodziłam od zmysłów”. Po chwili stanąłem przed moim mieszkaniem. Wszystkie płonne nadzieje rozmyły się jak poranna mgła nad stawem.

Jasne kiedyś mury ziały brudną czernią, jakby Szatan strzepał na niego popiół z piekielnego papierosa. Miętosilem w kieszeni klucze, chociaż teraz przekonałem się, że nie będą mi potrzebne. Drzwi wypadły z zawiasów. Leżały płasko dwa metry w głąb domu, wyważone pewnie przez jakiegoś młokosa. Mury jako tako się zachowały, dach wyglądał trochę gorzej, ale przy odpowiednich (czytaj – kosmicznych) nakładach finansowych budynek mógłby spełniać dalej funkcję mieszkaniową. Ale po co? Ten dom jest koszmarną pamiątką mojej tragedii, coś jak krwawy wizerunek Red Johna w mieszkaniu Patricka Jane’a. Bez Laury i dziewczynek to miejsce było cmentarzyskiem bolesnych wspomnień, zamkiem umysłowych tortur. Nagle zapragnąłem wrócić do szpitala, do małych pokoi, rosnących sanitariuszy, Klary, tabletek, atmosfery szaleństwa. Wtedy traktowałem odurzenie lekami za coś nieprzyjemnego. Z perspektywy czasu widzę, że to było błogosławieństwo. Słodkie objęcia tępej nieświadomości jeszcze nigdy nie wydawały się tak odległe, tak pożądane. Poza murami szpitala nie czekało na mnie nic ciekawego: życie bez rodziny, zniszczony dom, w którym smarkacze piją, palą i dymają się wśród nadpalonych mebli, samotność ściskająca mi mózg jak koszarne imadło. Co z tego, że dom był ubezpieczony. Spora część pieniędzy poszła na leczenie, nieskuteczne zresztą. Nie wiem, co miałbym zrobić z pozostałą kwotą. Może kupię sobie gilotynę.

Nie było sensu dłużej tu zostawać. Zawróciłem do szpitala. Oby przyjęli mnie z powrotem. Jeśli nie, coś wymyślę. W końcu jestem szaleńcem. Wystarczy jakiś mały wyskok, a panowie w niebieskich mundurkach zawiozą mnie na oddział psychiatrii. To pewne jak w banku. Przynajmniej to.

Tym razem nie biegłem. Potraktowałem drogę do szpitala jako ostatni spacer w moim życiu. W każdej twarzy dostrzegałem ślady Laury i dzieci. Kobiety miały jej włosy, oczy, uśmiech, figurę. Dzieci do złudzenia przypominały mi moje kochane bliźniaczki. Nagle przyszedł mi do głowy Adam Sandler w „Zabić wspomnienia”.

*Patrzę na owczarka niemieckiego, a widzę cholernego pudła.*

Szedłem spokojnie, obserwując ludzi dokoła mnie. Zabiegani, w drogich ciuchach, w rękach telefony, teczki, nesesery, torby. Minąłem gościa w białej koszulce z napisem DŁUG POUBLICZNY – GRZECH PIERWORODNY XXI WIEKU! Pod hasłem widniał rysunek płodu we wczesnym okresie życia. W krótkich palcach trzymał zwinięte banknoty, a zamiast oczu miał błyszczące nowością pięćdziesiątówki.

Oddział Psychiatrii mieścił się w lewym skrzydle kompleksu szpitalnego. Przed pójściem do Klary postanowiłem przejść się trochę. Nie dziwiłem się, że ludzie nie mogli znaleźć sal. Wszystkie korytarze były identyczne, napisy informacyjne razily w oczy zamiast wskazywać kierunek, a personel nie kwapił się z pomocą błądzącym petentom. Mało brakowało, a zszedłbym do kostnicy. W ostatniej chwili patolog wyprowadził mnie na neutralny teren, wściekając się nie na żarty.

Wycieczkę zakończyłem na oddziale onkologii, gdzie wśród cichego popiskiwanego aparatur słycać było jeszcze cichszy szloch zrozpaczonych rodzin czekających na ten ostateczny moment, gdy PIK PIK PIK przejdzie w przeciągłe PIIIIIIIIII, a lekarz powie zrezygnowanym głosem: „Bardzo mi przykro”. Tylko jedne drzwi były uchylone. Z wnętrza dochodził słaby blask nocnej lampki. Zajrzałem do środka.

W łóżku leżała mała dziewczynka. Pochlipywała dyskretnie do poduszki. Peruka spoczywała kilka centymetrów od niej, ale ona nie zadała sobie żadnego trudu, by poprawić ją na głowie. Pukiel włosów sterczał żałośnie na posłaniu jak przerośnięty skalp. Wszedłem do środka. Dziewczynka zmierzyła mnie oskarżycielskim wzrokiem, jakbym przyłapał ją na oglądaniu zdjęcia wokalisty młodzieżowego zespołu.

- Kim pan jest?

Stałem w pełnym świetle lampki, by mogła zobaczyć mnie w całości, i machnąłem ręką.

- Mam na imię Robert. Miło mi cię poznać. Czy mogę usiąść?

- Oktawia – odparła, nie patrząc na mnie. – Po co?

Nie wiedziałem, co dalej powiedzieć. Mój wygląd podsuwał jednoznaczne skojarzenie z mordercą-pedofilem. Licho też wychodziło mi zacieranie tego niesympatycznego wrażenia. Boże, gdyby zobaczył mnie ktoś z pracowników, na sto procent skończyłbym w kajdankach, a żółte papiery mogły mnie dodatkowo pogrzyść.

Od początku wydawał mi się podejrzany. Jego żona była strasznie spokojna, córki raczej rezolutne, ale kto wie, co wyczyniał z nimi, gdy rolety opadały w dół, a światła w pokojach gasły. Może był jakimś zwyrodnialcem? Kto to wie.

- Jesteś podobna do moich córek – wyrzuciłem. – Były bliźniaczkami. Miały cztery lata.

Męczyłem się jak dwie dumne dziewczyny na pamiętnej prywatce z mojego poprzedniego życia.

- Ja mam pięć – wtrąciła pretensjonalnie.

- Co nie zmienia faktu, że jesteście podobne. Gdzie twoja rodzina?

Po raz pierwszy dziewczynka na mnie spojrzała, chociaż później gorzko tego pożałowałem. Jej wzrok był pełen cierpienia, ale i nienawiści. Okropna mieszanka, zwłaszcza na tak młodziutkiej twarzy.

- Nie mam rodziny – odparła gniewnym tonem. – Mama zostawiła mnie na śmietniku. Gdzie są pana córki?

- Nie żyją. W domu był pożar. Obie zginęły. Moja żona też.

- To smutne - powiedziała Oktawia. – Tęskni pan za nimi?

- Mów mi Robert, ok.?

Przytaknęła.

Rozmowa sama potoczyła dalej. Spędziłem w pokoju dziewczynki dwie godziny. Oktawia miała zaawansowanego raka mózgu. To, co początkowo wziąłem za płacz, okazało się bólem głowy, a łzy były najprostszym przejawem jej bezradności, bezsilności wobec wewnętrznego mordercy.

W pewnym momencie do sali wszedł lekarz. Mało nie wyniósł mnie na kopach ze środka, ale Oktawia powiedziała, że mogę zostać. Skłamała, że jestem jej dalekim wujkiem, a doktor przystał na ten lichy kant. Po tej pobłażliwości domyśliłem się jednego: to dziecko umiera; dni, może godziny dzielą ją od zimnych objęć kostuchy.

To niewiarygodne, ale w tak krótkim czasie zawiązała się między nami nić porozumienia. Ona była dla mnie pamiętką po zmarłych córkach, ja dla niej ojcem, którego nigdy nie poznała. Rozmowa sprawiała jej niemałą trudność. Dziewczynka co chwila zamykała oczy, marszcząc brwi w grymasie bólu. Za każdym razem, gdy to widziałem, lodowaty sztylet dźgał mnie w serce. Który bóg ma w sobie tyle okrucieństwa,

by karać niewinne dzieci takim cierpieniem?

Wszechmogący. Jakież by inny?

No tak. Przecież w przyszłości Oktawia mogłaby być morderczynią, złodziejką, zażywać narkotyki albo zejść na inną drogę występku. Boski plan. Dlaczego więc Stwórca nie da biednym ludziom pieniędzy? Nie odetnie damskim bokserom rąk, a zbrodźcom penisów? Dlaczego nie obdarzy polityków większą empatią, a młodzież namiastką rozumu? Nie da szczęśliwym, prostym ludziom *dlugich dni i przyjemnych nocy* (Jak mawiało się w Świecie Pośrednim)? Bo im się, kurwa, w dupach przewraca?!

Po wizycie u Oktawii poszukałem lekarza, który przerwał naszą rozmowę. Znalazłem go po dwudziestu minutach. Siedział za biurkiem w dyżurce, walcząc z papierkową robotą. W przenośnym radiu obok stosu makulatury Robert Gawliński śpiewał „Słońce pokonał cień”. Koszmarna puenta. Wolałem Urszulę Sipińską i jej „Świat w zupełnie starym stylu” z recepcji przy wejściu. Zapytałem lekarza, jakie są rokowania dziewczynki.

- Fatalne – podsumował mężczyzna, spuszczać głowę. – To dziecko dynda nad własną trumną. Wszystko rozstrzygnie się w ciągu najbliższych dni. Wiem, że nie jest pan jej wujkiem, ale może pan zostać przy niej do czasu zgonu. To naprawdę niewiele. Tak w ogóle to skądś pana kojarzę. Gdzie mogłem zobaczyć tę twarz?

- Nie wiem – odparłem wymijająco. – Może na plakatach kampanii przeciw narkotykom?

Kłamstwa mają to do siebie, że czasem brzmią cholernie wiarygodnie. Tak przynajmniej było z tym.

Nie wchodziłem później do Oktawii. Dziewczynka spała; płytko i nierówno, ale jednak. Nie było sensu jej budzić. Przyjdę do niej rano. Tymczasem wróciłem do domu. Przegoniłem małolatów. Z moim wyglądem nie było to takie trudne. Połowa z nich uwierzyła, że jestem rozgniewanym demonem domu. Alkohol i przerażający wygląd to najlepsza gwarancja sukcesu. Znalazłem mój ulubiony fotel – ktoś przeniósł go z salonu do sypialni, nie chcę wiedzieć w jakim celu – oczyściłem go trochę i ostrożnie usiadłem. Drewno ucierpiało w czasie pożaru, w dodatku ktoś nadłamał ramę, ale mebel wytrzymał moją skromną wagę. Zamknąłem oczy, pograżając się w zadumie, pozwalając, by cierpienie i tęsknota zawładnęły każdym zakątkiem mojego umysłu. Dałem upust swojemu szaleństwu jak Jack Torrance w Sali Balowej hotelu Panorama.

*Północ! Zrzucić maski!*

Nie było tu zegarka. Nie spłonął. Ktoś go ukradł. Dom zaczęły wypełniać odgłosy Laury i dzieci. Czułem się, jakby zamiast północy dochodziła trzecia.

Godzina demonów.

Tej nocy Laura i dziewczynki wracały do mnie koszmar za koszmarem. Zdejmowały maski, pokazując mi spalone twarze i bezzębne usta. Wyciągały ręce pełne pękających pęcherzy. Szły w moim kierunku, a dym z płonących ubrań kreślił w powietrzu koszmarnie szlaczki. Dużo krzyczałem. Nie wiem, czy na głos czy nie, ale rano obudziłem się ze zdartym gardłem. Nikt też nie zakłócał mojej obecności. Możliwe, że darłem się jak opętany. W pewnym sensie stałem się upiorem.

Nazajutrz udałem się do banku po resztę pieniędzy. Nie zostało tego dużo, ale na mój plan w zupełności wystarczyło. Dorzuciłem nawet napiwek, żeby firma nie spartaczyła sprawy. Takie życie. Nie posmarujesz, nie pojedziesz.

Polskie piekielko.

Obsługa zakładu „Czy To Już?” trochę się zdziwiła, gdy powiedziałem, że chcę opłacić pogrzeb swój i pewnej młodej damy. Gdy uprzejma kobieta spisywała moje dane, do środka weszło dwóch mężczyzn. Jeden nich miał na sobie pogrzebowy garnitur i był blady jak nieboszczyk, drugi miał na sobie ochronny fartuch i prowadził go przez korytarz.

- Piotr! – krzyknęła kobieta za biurkiem. – Co teraz robisz?

- Idę przygotować pana Kowalskiego do ceremonii – odparł pracownik. – O co chodzi?

- Będziesz miał kolejnego klienta. Tego pana i jego małą podopieczną.

Facet zmierzył mnie zdziwionym wzrokiem.

- Z tego, co widzę, to jeszcze pan nie umarł – stwierdził sucho.

- Jeszcze nie – sprostowałem – ale za dzień, góra dwa.

- Kolejne zombie – westchnął pracownik. – Skąd wy się bierzecie? Z Racoon City?

Zgarnął walizkę i wszedł do kolejnego pomieszczenia. Błady mężczyzna stał jak zahipnotyzowany, tak-  
sując mnie zmętniałym wzrokiem. Wygląda, jakby zobaczył ducha, przeszło mi przez myśl.

Formalności poszły gładko. Opłaciłem pełen pakiet usług dla siebie i Oktawii. Wróciłem do domu, gdzie nieliczni z odważnych wykołajeńców szukali objawów nawiedzenia. Początkowo chcieli zwiać na mój widok, ale gdy przekonali się, że jestem żywy, a mój wygląd jest wynikiem traumatycznych przeżyć, zostali. Zapłaciłem im pewną sumkę za specyfik, który w kilka minut zetnie mnie jak rolnik trawę na wiosnę; płasko i na cacy.

- Gównu mnie obchodzi, co to będzie, ale ma być skuteczne i nie robić syfu – zagroziłem im palcem. – Ostatnie, czego bym chciał, to krew albo wymiociny na podłodze. Chcę to połknąć i zasnąć. Zrozumiano? Goście pokiwali głowami. Po czterdziestu minutach wrócili z dziwnym proszkiem.

- Zmieszaj z niewielką ilością wody i wypij. Efekt po kilkunastu minutach – powiedział z kamienną twarzą najniższy z bandy. – Będzie cię kurewsko bolał żołądek, głowa i całe wnętrzności, ale skończysz bez najmniejszych wycieków.

- Skąd ta pewność?

Gość spojrział na mnie wyzywającym wzrokiem. Z jego oczu biła pewność zawodowego mordercy. Po tym widoku cofnąłem pytanie. Tak naprawdę wcale nie chciałem tego wiedzieć. Nie bałem się śmierci, ale ten gość napawał mnie autentycznym przerażeniem. Ślady igieł na przedramionach, wory pod oczami, lodowato zimne spojrzenie i ten złowieszczy uśmiešek. Kostucha na najbardziej przerażających obrazach wyglądała przy nim jak brudna od sadzy Smerfetka. Ruszyłem do wyjścia. Miałem dość tego towarzystwa.

- Jak to jest? – rzucił mi na odchodne młodociany wykołajeńiec. – Zawierać pakt ze śmiercią? Patrzyć jej prosto w oczy?

- Robisz to codziennie – skonstatowałem – lecz jesteś zbyt ślepy, by to dostrzec. Ciebie, który odbija się w lustrze, gdy w nie patrzysz, to jej odbicie. Wyteż wzrok, chłopcze, a zobaczysz jej czarne oczy i ostre zęby.

Z Oktawią było dzisiaj bardzo źle. Co tam źle. Koszmarnie. Gorączkowała, ledwo widziała na oczy, kołdra nad jej wychudzonym ciałem falowała jak wzburzone morze, nieregularnie, nieprzewidywalnie. Dziewczynka majaczyła. Jęczała niezrozumiale dla nikogo słowa jak w pijackim transie. Poza moim imieniem nie wymówiła żadnego innego. Rozpłakałem się. Dziecko, które w stanie agonii nie może powiedzieć imienia żadnego z rodziców, bo ich zwyczajnie nie poznało, to straszny, rozdzierający serce widok.

Złapałem Oktawię za rękę. Zaciśnęła ją mocno, z wielkim trudem otwierając oczy.

- Robert – wychrypiała. – Pomożesz mi? Tak bardzo boli.

Łzy stały mi w oczach jak samochody na ulicach w godzinach szczytu. Po chwili poleciały po policzkach ciągłym strumieniem.

- Pójdę z tobą – oświadczyłem, zaciskając drugą dłoń na jej drobnej rączce. – Przejdziemy przez to razem. Ty i ja. Co o tym sądzisz?

Chciała przytaknąć, ale z gardła wyszedł tylko zdławiony charkot. Po chwili w sali zjawił się doktor ze środkiem przeciwbólowym. Po zastrzyku Oktawia przestała się wiercić, choć gorączka nadal nie

schodziła z jej spoconej twarzy.

- To jej ostatnie minuty – orzekł lekarz, odwracając wzrok. – Zastrzyk złagodzi ból. Miejmy nadzieję, że koniec nadejdzie szybko i bezboleśnie. Zostaniesz z nią, Robercie?

Nie miałem pojęcia, skąd poznał moje imię. Teraz nic mnie to nie obchodziło. Podał mi szklankę wody, którą postawiłem na nocnej szafce. Niebawem zrobię z niej użytek.

- Zostanę – zadeklarowałem łamiącym się głosem. – Gdy odejdzie, ja zasnę. Proszę zostawić nas samych. Proszę dać nam pół godziny – powiedziałem, wręczając lekarzowi kopertę. – Wszystkie instrukcje są tutaj. Załatwiłem formalności odnośnie pochówku, zapłaciłem wszystkie koszty. Zakład czeka tylko na wasz telefon. Proszę pana... Proszę cię, załatw to jak należy.

Mężczyzna przeczytał fragment listu. Z każdym kolejnym zdaniem na jego twarzy gościł coraz większy wyraz niedowierzania.

- Człowieku – wydyszał zszokowany. – Co ty robisz?

- Inwestuję w siebie – odparłem, spoglądając na Oktawię. – Nie zepsuj tego.

- Jestem lekarzem – zaperzył się facet.

- Bądź człowiekiem. Tylko tego od ciebie oczekuję. A teraz wyjdź. Proszę.

Nie wyszedł, wręcz wyleciał z pomieszczenia. Bałem się, że zaraz ochrona szpitala wyprowadzi mnie z budynku, ale na szczęście nic takiego się nie stało. Lekarz okazał się człowiekiem.

- Robert – powiedziała Oktawia sennym głosem. – Chce mi się spać.

Mocniej ująłem jej dziecięcą dłoń. Aparatura przy jej łóżku zaczęła nierówno pracować. To przyspieszała, to znów zwalniała. Zwyczajnie oszalała.

- Więc śpij – odparłem, głaszcząc jej przemoczoną głowę.

- Gdzie pójdziemy?

- Na zieloną łąkę. Na środku niej, pod cieniem wielkiego drzewa będzie czekał na nas koc i przekąski. Ptaki będą wesoło śpiewać, a leśne zwierzątka poobserwują nas wśród gęstej trawy.

- Będziesz tam ze mną? Boję się iść sama.

Ja też się bałem. Życie to narkotyk. Nieważne jak parszywe, cholernie ciężko się z nim rozstać. Poza tym nie byłem do końca pewien, czy na mnie czeka taka właśnie łąka. Prędzej nieludzki obóz pracy w środku płonącego wulkanu. Ale postanowiłem nie mówić tego na głos.

- Oczywiście, że będę. Osobiście przygotuję ci kanapki z masłem orzechowym i pobijam cię na huśtawce na gałęzi. Chcesz pić?

- Nie. Zaraz zasnę.

Ja się napiję, pomyślałem, wychylając zagadkową zawartość szklanki, którą sam sobie przygotowałem.

Uścisk dłoni Oktawii malał z każdą sekundą. Za to ból w trzewiach i czaszce napierał na mnie coraz bardziej. Złapałem się za brzuch, jedną ręką wciąż ściskając rączkę Oktawii. Aparatura z PIK PIK PIK przeszła na monotonne PIIIIII. Kurdupel w moim domu miał rację. Ból był kurewski, jakbym płonął od środka.

Poczułem straszliwą senność. Powieki zaciążyły mi, jakby ktoś przywiązał do nich kowadła. Mgiełka coraz bardziej zasnuwała mi wzrok. Ostatni raz spojrzałem na Oktawię. Leżała nieruchomo w kałuży własnego potu z wyrazem spokoju na twarzy. Przy łóżku zamajaczyła mi żona z córkami; stały uśmiechnięte, trzymając się za ręce. Laura patrzyła na mnie pełnym dezaprobaty wzrokiem. „Ty głupolu”, zdawały się mówić jej niebieskie oczy, „Coś najlepszego narobił”.

Zainwestowałem w siebie, pomyślałem, odpływając w ciemność. Kolejny zwrot, który przyczepił się mojej głowie. „Zainwestowałem w siebie”.

W ostatnim etapie uciekającej świadomości spojrzałem w kierunku drzwi. Stała w nich Klara. Wyglądała bardzo realnie, ale tego nie mogłem być pewien. Jawa i sen mieszały się ze sobą, kręciły jak roztańczona para na wyjątkowo udanej zabawie. Klara powiedziała coś do mnie, ale spirala nicości pochłaniała mój umysł z prędkością błyskawicy.



Położyłem głowę na łóżku obok rączki Oktawii.

Już się nie bałem.

Ani trochę.

„Powodzenia”

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

ipsylon, dodano 28.02.2014 05:45

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).